

Hans Christian Andersen

Bałwan ze śniegu

Taki mróz rozkoszny, że aż coś we mnie trzeszczy - powiedział bałwan ze śniegu. - Wiatr potrafi tchnąć życie. Ale jakże rozżarzone jest "to" w górze, jak wytrzeszcza swoje gały. - Miał na myśli słońce; właśnie zachodziło. - Nie zmusi mnie do mrugania, będę mocno zaciskał moje skorupki.

Zamiast oczu miał dwa duże, trójkątne kawałki dachówek, usta miał zrobione z kawałka starych grabi, posiadał więc i zęby.

Przyszedł na świat wśród radosnych okrzyków dzieci, powitany brzęczeniem dzwonek sanek i trzaskaniem z bicia. Słońce zaszło, wzeszedł księżyc w pełni, okrągły i wielki, jasny i piękny w błękitnym powietrzu.

- Znowu wyszło po drugiej stronie - powiedział bałwan ze śniegu. Był przekonany, że słońce się znów pokazało. - Odzwyczaiałem je od gapienia się. Może sobie tam być i świecić, abym tylko mógł oglądać siebie samego. Gdybym tylko wiedział, jak trzeba się ruszyć z miejsca. Tak chętnie poruszałbym się. Gdybym potrafił, zszedłbym teraz poślizgać się po lodzie, widziałem jak to robili chłopcy; ale nie potrafię biegać.

- Precz, precz! - zaszczekał stary podwórzowy pies na łańcuchu; był trochę zachrypnięty. Miał chrypkę od czasu, gdy przestał być pokojowym pieskiem i już nie leżał pod piecem. - Słońce nauczy cię biegać. Widziałem, co się działo zeszłego roku z twymi poprzednikami, a dawniej z ich poprzednikami. Precz, precz! Wszyscy oni poszli sobie precz.

- Nie rozumiem cię, kolego - powiedział bałwan ze śniegu - to, co jest w górze, ma mnie nauczyć biegać? - Miał na myśli księżyc. - On sam, kiedy mu się

dobrze przyjrzę, posuwa się naprzód: teraz skrada się z drugiej strony.

- Nic nie wiesz - powiedział podwórzowy pies. - Dopiero niedawno cię ulepiono. To, na co teraz patrzysz, nazywa się księżycem; to, które przedtem odeszło, było słońcem, jutro rano znowu wróci, ono już cię nauczy, jak stoczyć się do rowu. Wkrótce zmieni się pogoda, czuję to po rwaniu w lewej tylnej łapie. Pogoda zmieni się.

- Nie rozumiem go - powiedział bałwan ze śniegu - ale mam wrażenie, że mi powiedział coś nieprzyjemnego. To, co się tak na mnie gapi i potem odchodzi, to, co pies nazywa słońcem, nie jest dla mnie przyjaźnie usposobione, czuję to.

- Precz, precz! - ujadął pies, okręcił się w kółko trzy razy i ułożył się w swej budzie do spania.

Pogoda zmieniła się istotnie. Nad ranem gęsta, wilgotna mgła pokryła całą okolicę; kiedy dniało, zawiął wiatr, wziął ostry mróz; ale cóż to za widok ukazał się gdy słońce wzeszło. Wszystkie drzewa i krzaki stały w szronie; wyglądało to jak las z białego koralu, wszystkie gałęzie były jakby obsypane lśniącem białym kwieciem. Widać było nieskończenie wiele gałęzi i gałązek, w lecie zupełnie niewidocznych pod liśćmi; była to błyszcząca, biała koronka, zdawało się, że z każdej gałęzi promieniuje oślepiający blask.

Płacząca brzoza chwiała się na wietrze, pełna była życia jak drzewa w lecie. Było to niezrównanie piękne. A kiedy zaświeciło słońce, wszystko zabłysło jak pokryte diamentowym pyłem, a na śnieżnej powłoce ziemi błyskały wielkie diamenty; można sobie było też wyobrazić, że płoną tam niezliczone, maleńkie światełka jeszcze bielsze od białego śniegu.

- Jakie to cudownie piękne - powiedziała młoda dziewczyna, która weszła z młodzieńcem do ogrodu. Stanęli tuż koło bałwana i stąd oglądali błyszczące drzewa. - Nawet w lecie nie można mieć

piękniejszego widoku - powiedziała dziewczyna i oczy jej zaświeciły.

- A takiego jegomościa jak ten nie ma wcale w lecie - dodał młodzieniec i wskazał na bałwana. - Jest wspaniały.

Dziewczyna zaśmiała się, kiwnęła głową bałwanowi i tańczyła ze swym przyjacielem po śniegu, który skrzypiał pod nogami, jak gdyby stąpali po krochmalu.

- Kto to byli ci dwoje? - spytał bałwan psa. - Jesteś na podwórku dłużej ode mnie, czy znasz ich?

- Rozumie się, że ich znam - odpowiedział podwórzowy pies. - Ona mnie pogłaskała, a on podarował mi kość; nie ugryzę ich.

- Ale co oni tu robią? - spytał bałwan.

- Zakochana para - powiedział podwórzowy pies. - Zamieszkają w jednej budzie i będą razem gryzli kości. Precz, precz!

- Czy tych dwoje może się równać ze mną i z tobą? - spytał bałwan ze śniegu.

- To państwo - odrzekł pies. - Kiedy się dopiero wczoraj przyszło na świat, wie się doprawdy niewiele, widzę to po tobie. Jestem stary i doświadczony, znam tu wszystkich w obejściu, a były czasy, kiedy nie stałem tu na zimnie, przywiązany na łańcuchu. Precz, precz!

- Zimno jest rozkoszne - zauważył bałwan. - Opowiadaj, opowiadaj. Ale nie bręcz łańcuchem, bo we mnie coś trzeszczy.

- Precz, precz! - ujadał pies. - Byłem młodym pieskiem, oni mówili, że małym i ślicznym; wówczas leżałem w pokoju na pluszowym fotelu, spoczywałem na kolanach pani i pana, całowano mnie w pyszczek i wycierano mi łapki haftowaną chusteczką; nazywano mnie "najpiękniejszym pieskiem, piesiulkiem", ale potem stałem się dla nich za duży, podarowali mnie gospodyni; powędrowałem do sutereny. Z miejsca, gdzie stoisz,

możesz tam zajrzeć; możesz zobaczyć tę komórkę, gdzie traktowali mnie po pańsku; gdyż tak się do mnie odnosiła gospodyni; było tam wprawdzie skromniej niż na górze, ale przytulniej; dzieci nie ciągnęły mnie i nie drażniły jak tam, na górze. Karmili mnie równie dobrze, ale jeszcze o wiele obficiej. Miałem własną poduszkę i był tam także piec, a o tej porze roku jest to najmiłsza rzecz na świecie. Właziłem pod sam piec tak, że znikałem pod nim. Często jeszcze śnię o piecu. Precz! Precz!

- Czyż piec wygląda tak pięknie? - spytał bałwan ze śniegu. - Czy jest podobny do mnie?

- Wygląda zupełnie jak twoje przeciwieństwo. Jest czarny jak węgiel, ma długą szyję i mosiężną trąbę. Pożera drzewo, aż ogień bucha mu z ust. Trzeba trzymać się jego boku, tuż koło niego lub pod nim, to niezwykła przyjemność. Możesz go zobaczyć przez okno z tego miejsca, gdzie stoisz.

Bałwan ze śniegu zajrzał w okno sutereny i zobaczył rzeczywiście czarny, polerowany przedmiot z mosiężną rurą; ogień błyszczał w dole. Bałwan ze śniegu miał dziwne uczucie, z którego sam nie zdawał sobie dobrze sprawy: ogarnęło go coś takiego, czego nie znał, ale co znają wszyscy ludzie, o ile nie są bałwanami ze śniegu.

- I dlaczego "ją" opuściłeś? - spytał bałwan. Wydawało mu się, że piec musi być istotą żeńskiego rodzaju. - Jakże mogłeś opuścić takie miejsce?

- Musiałem - odpowiedział pies - wyrzucili mnie i przywiązali do łańcucha. Ugryzłem służącego w nogę, gdyż zabrał mi kość, którą obgryzałem; kość za kość, myślałem sobie. Ale wzięli mi to za złe i od tego czasu przymocowano mnie do łańcucha i straciłem mój piękny głos, posłuchaj no, jaki jestem zachrypnięty: precz, precz! Taki był koniec.

Bałwan ze śniegu nie słuchał już więcej, patrzył bezustannie w okno sutereny, do gospodyni, patrzył w głąb pokoju, gdzie stał piec na swych czterech

żelaznych nogach i był tej samej wielkości co bałwan ze śniegu.

- Coś tak dziwnie we mnie trzeszczy - powiedział.
- Czyż nigdy się tam nie dostanę? Przecież to niewinne życzenie, a nasze niewinne życzenia spełniają się zazwyczaj. Jest to moje najskrytsze życzenie, moje jedyne życzenie; byłoby to niesprawiedliwie, gdyby się nie ziściło. Muszę tam się dostać, muszę się do niego przytulić, nawet gdybym miał stłuc szybę w oknie.

- Nigdy tam nie wejdiesz - powiedział pies. - A kiedy zbliżysz się do pieca, znikniesz, precz, precz.

- I tak już prawie mnie nie ma - odrzekł bałwan. - Wydaje mi się, że się rozpadam.

Przez cały dzień bałwan ze śniegu stał i patrzył przez okno; w zmierzchu pokój wyglądał jeszcze bardziej zachęcająco; z pieca rozchodził się taki miły blask, księżyc ani słońce nigdy nie potrafią tak błyszczeć jak piec, kiedy pali się ogień w jego wnętrzu. Kiedy drzwiczki się otwierały, buchał jasny płomień, piec był do tego przyzwyczajony; płomień oświetlał czerwonym blaskiem białą twarz bałwana, czerwień ta sięgała nawet jego piersi.

- Nie wytrzymam - powiedział bałwan - jak mu do twarzy z tym wyciągniętym językiem.

Noc była bardzo długa, ale bałwanowi wydawała się krótka; stał pogrążony w swych pięknych myślach, które zamarzały tak, że aż trzeszczało.

Rankiem okna sutereny zamarzły, ukazały się na nich najpiękniejsze kwiaty, jakie tylko bałwan ze śniegu mógłby sobie wymarzyć, ale zasłoniły mu widok pieca. Szyby nie chciały odtajać i bałwan nie mógł zobaczyć "swojej ukochanej". Trzeszczało i trzaskało w nim i obok niego; był mróz wymarzony dla bałwana ze śniegu, ale on się nie cieszył - mógłby być taki szczęśliwy, ale nie był szczęśliwy, tęsknił do pieca.

- Tęsknota do pieca to ciężka choroba dla bałwana
- powiedział pies - i ja niegdyś cierpiałem na tę
chorobę, ale przemogłem ją. Precz, precz! Teraz
pogoda się zmieni.

I pogoda rzeczywiście zmieniła się; rozpoczęła się
odwilż.

Odwilż zwiększała się, a bałwan się zmniejszał.
Nie mówił nic, nie skarżył się, a to jest już zły znak.

Pewnego ranka rozpadł się. Z tego miejsca, gdzie
stał, wystawało coś, co przypominało kij do miotły,
chłopcy ulepili bałwana na tym kiju.

- Teraz rozumiem jego tęsknotę - powiedział pies
łańcuchowy. - Bałwan miał w ciele pogrzebacz; to on
się w nim poruszał; teraz już to minęło. Precz, precz!

Wkrótce potem i zima również minęła.

- Precz, precz! - szczekał pies a małe dziewczynki
śpiewały na podwórzu:

Niechajże rosną z ziemi
kwiatuszki.
Pokaż nam, wierzbo,
wiosenne puszki.
Wiosna nadchodzi, ptaszki
śpiewajcie,
Koniec lutego, pięknie
zagrajcie,
I my wtórujemy kukułkom w
chórze,
A ty, słoneczko, świećże
nam w górze.

I nikt już nie myślał o bałwanie ze śniegu.